Nr. 9. We Lwowie dnia 26. lutego 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Listy J. Słowackiego do S. Goszczyńskiego.

Ogłoszone tu po raz pierwszy listy*), publikację których, czytelnicy zawdzięczają p. Zygmuntowi Wasilewskiemu, mówią same za siebie. Pomijając list do Leonarda Chodźki, pośredniczącego w druku i rozsprzedaży pierwszych tomików »Poezji« J. Słowackiego (Paryż, 1842, w 16-ce, u Pinardów), nie zawierający nic ciekawego (por. »Listy« J. Słowackiego do matki, Lwów, 1882, I. 49—50 i 42, gdzie mamy lepiej określony stosunek początkującego poety do głośnego literata) dorzucają trzy następne garść szczegółów, mających znaczenie nietylko literackie, ale i psychologiczne. Pisane w czasie przesilenia towiańszczyzny, wykazują ścisły związek mistycyzmu z praktyczną stroną życia — co zauważył i Małecki w dziele o Słowackim — i podnoszą ambicję romantyka na wyżynę uspołecznionej moralności. Łącząc się duchem z »bratem Sewerynem« (stosunek ten sięga jeszcze roku 1842, kiedy to obaj, pierwszy 12. lipca, a drugi 16. lipca 1842 r. dostąpili tego zaszczytu, że byli przez Ludwika Nabielaka przedstawieni mistrzowi Towiańskiemu) pamiętał zawsze o jego opłakanem położeniu materjalnem i posyłał wielkiemu poecie, który nie miał czem opłacić marki listowej, po kilkadziesiąt franków.

I.

(Adres): à Monsieur
Monsieur
Léonard Chodźko
(Paris) Rue des Beaux Arts N. 6.
(papier listowy małego formatu 8-o).
r 1832 (ołówkiem ręką Chodźki).

Kochany Leonardzie!

Ponieważ jesteś tak łaskaw, że mi pozwalasz znów obciążyć ciebie xiążkami — posyłam 52 exemplarze moich poezji. Nie wiem prawdziwie, jak ci mam podziękować za tyle przychylności... Wierzaj mi, że dobroć twoją dla mnie czuć umiem i wdzięcznym być za nią.

Do widzenia się!

Juljusz Słowacki.

II.

(do Seweryna Goszczyńskiego — bez adresu).
D. 26. Listopada 1847 r.)

Kochany Bracie Sewerynie!

Głęboko dziękuję Bogu, że mi w Twoim duchu braterstwo tworzy i zachowuje — jest to dla mnie czas łaski — wiele mi serc, do których kołatałem, otworzyło się — samotność moja została ze mnie zdjętą — z różnych stron ludzie odzywają się do mnie*). Duch prawdy i świętości, któremu służę, daje mi moc — że ze stratą płuc moich ciągle nad sprowadzeniem światłości w Duchy ludzkie pracuję.

Sam pojmiesz, ile mi drogą była teraźniejsza odezwa Twoja. Nie zapomniałem nigdy o Tobie, bo wewnętrzną wartość czuję i poświęcenie się Twoje sprawie Bożej wdzięcznością mnie dla Ciebie napełnia. Jako nieśmiertelny wiem, że z Twojego zasiewu nieraz owoce zbierać będę w przyszłości — w wiekach odezwie się nieraz echo głosu Twojego — i z ducha Twojego

*) Na wydrukowanie listów niniejszych w pismach warszawskich nie zezwoliła w roku ubiegłym cenzura. Czytelnik, świadom zakazu, odniesie z ich przeczytania i korzyść uboczną: będzie miał probierz, do jakiego bezwstydu dochodzi moskiewski absolutyzm w katowaniu i tępieniu myśli polskiej. *(Red.)*

*) »Otoczył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy« (2. sierpnia 1842). »Znajomości te ożywiły także serce moje, bo mi dowiodły, że ludzie lgną do mnie łatwo i — tobie to tylko powiem — są z pewnym rodzajem uszanowania, nie wiedząc nawet, czy mi się ono należy«, (2. października 1843) »ja prosty teraz człowiek odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec, czar, który dawniej zostawiony był instynktowi i rozwijał się lub gasnął w człowieku jak lampa. (Listy J. Słowackiego do matki.)«

uczynki urodzone spotkam po wielekroć na drodze pracy mojej — dopokąd mię Pan spracowanego od męki głodowej nie uwolni. To samo, jak sądzę, czujesz już, widząc trud, który nas na drodze świata spotyka. Mało nas jeszcze i nie silni jesteśmy. Czas opiera się na naszej duchowej potędze - wszystkich sił z ducha naszego wydostać musim, abyśmy mgłom i ciemnościom zewnętrznym zupełnego panowania nie dali...

W tem przeświadczeniu od dawna staram się już, aby jakakolwiek materjalna pomoc głoszącym prawdy duchowe, przyjść mogła z kraju. Staram się, aby dla wydawnictwa dzieł prawdziwie rozwidniających cele Epoki nowej, jakie fundusze złożono. Osobiście jeszcze o to ziomków prosić nie mogę, bo dotychczas samotny i bez żadnego miłości bratniej poparcia — osobą moją i przykładem chcąc służyć sprawie, nie mogę jeszcze w wysokim Tonie, i bez zdrady niejako ogólnego ducha sprawy — o pomoc pieniężną u narodu mego upomnieć się. Ufam jednak, że mi to Bóg wkrótce łatwem uczyni — a wtenczas wezwę Cię do braterskiego na tej drodze piśmienniczej udziału — sam zaznaczysz granice, w których będziesz chciał udzielić mi wspólnictwa Twego — a wolność Ducha twego uszanuję — i nic, nad dobrowolne Twoje schylenie się ku mnie, nie będzie dla ciebie warunkiem. Ta myśl, o której piszę, prawdziwie urodziła się we mnie z prawdziwego i świętego westchnienia nad niedolą Twoją i nad uciskiem cielesnym, z którym ty się, syn ojczyzny najstalszy, tak długo mocujesz. Bóg widzi, że mię to boli, jak brata.

Posyłam Ci teraz na razie 60 franków, prosząc, abyś w duchu swym tego posłania nie liczył i nie zapisywał... Mianowskiego*) widziałem przed kilku dniami — teraz trochę chory będąc, nie wychodziłem z domu i nie wiem, co się z nim dzieje, bo do mnie nie przychodzi. Spodziewam się jednak, że to nie z obojętności pochodzi, bośmy się ze łzami witali. Niech Cię Bóg strzeże i opiekuje się Tobą.

Twój brat
Juljusz Słowacki.

(P. S. I.) Proszę Cię — jeżeli widujesz, pozdrów brata Różyckiego odemnie, ale tylko wtedy, jeżeli sądzisz, że mu braterskie moje i pełne miłości wspomnienie, nie będzie obcem — i uczuciu duchowemu przeciwnem. Bóg Ojców naszych niech będzie nad Wami!

(P. S. II.) Proszę Cię, nie zostawiaj mię długo bez wiadomości o sobie — mów, jak do człowieka, który przez 5 lat pracował nad sobą srogo i bez przebaczenia dla win własnych.

(Kartka papieru listowego, dużego formatu 4-o).

*) »Mianowski był u mnie, ze łzami i milcząc przesiedzieliśmy czas jakiś na kanapie. Miał do was pisać, nie widząc się ze mną, wyjechał. Widuję teraz wielu ludzi. Miłość mi ich sprowadza«. Z listu J. Słowackiego do matki d. 2. grudnia 1847 r. Siostra przyrodnia Juljusza, Aleksandra, była za Mianowskim.

III.

(Bez adresu — do S. Goszczyńskiego).

Paryż, d. 5. Decembr. 1847 r.

Kochany Bracie Sewerynie!

Nowy Rok następuje — pozdrawiam Cię w Duchu Świętym Sprawy, łącząc się z Tobą w oczekiwaniu i w trudzie teraźniejszej pracy. Czuję Ciebie, choć daleko jestem od Ciebie — i proszę Boga, aby na drogach prawdy, w dopełnieniu czynu zbliżył nas i razem postawił. Zmęczony jestem wielce pracą z ludźmi, a jednak czuję, że nie bez owocu są moje usiłowania. Wielu się przybliżyło i rozjaśniło w Duchu nowej epoki — braknie tylko wspólnictwa serdecznego od Was, któreby mię samego wzmocniło, i do owego usiłowania mocnym czyniło. Ufam jednak Bogu, że wejrzy w głąb duchów i usprawiedliwi Sumienia ludzkie.

Pisałem do Ciebie d. 26. Nowembra — nie wiem, czyś odebrał list mój i posyłkę. Teraz, choć nie wiem, czy Cię pod tymże samym adresem mój list dojdzie — piszę i posyłam, co mogę — a przed Nowym rokiem niewiele mogę — wolę jednak upokorzyć ducha mego nędzą tego czynu, niż zostać bez ofiary — zwłaszcza że śnieg widzę padający — i smętek wielki powietrza, i ucisk zimna — a sam od tych wszech rzeczy obronion jestem przez łaskawość Boga.

Upraszam Cię, abyś mi odpisał choćby słowo jedno — dla uspokojenia mojej myśli.

Mianowskiego poszedłem zaraz był odwiedzić, abym go pozdrowił od Ciebie, lecz Bóg tak chciał, że go nie zastałem i że ten człowiek, kuzyn mój — bez pożegnania się ze mną wyjechał z Paryża.

Wybacz mi, że krótko piszę — milczenie Twoje względem mnie nie upoważnia mię do dłuższego pisania. Sciskam Cię więc serdecznie i proszę, abyś mię wspomagał modlitwą Twoją i dobrą wolą Twoją. Sam to czynię.

Twój brat
Załączam fr. 20. Juljusz Słowacki.
Rue de Ponthieu, 30.

IV.

(Do Goszczyńskiego — bez daty).

Kochany Sewerynie!

Byłem u Ciebie i w piątek i dziś po dwakroć, chciałem odwiedzić Ciebie i prosić, jak mi polecił Stattler, malarz nasz godny*), abyś mu jutro, to jest w poniedziałek, posiedział do portretu. Mieszka on na ulicy Savoie N. 5 — zwykle rano oczekuje na swoje oryginały — jeżeli więc czas mieć będziesz, daj mu się.

Życzę Ci zdrowia.
Juljusz Słowacki.«

*) Listy J. Słowackiego do Wojciecha Stattlera są w posiadaniu syna jego, Jul. Stattlera, w Warszawie.

AWANTURA.

(Fragment z pamiętników rządzcy domu.)

Przez

Klemensa Junoszę.

. . . .

Poprzednia właścicielka kamienicy, wdowa, zanim się po raz trzeci za mąż wydała, bębniła po całych dniach na fortepjanie.

Brzęczał ten klekot, och, brzęczał rano i po południu i wieczorami, a czasem nawet i późno w nocy rozlegały się jego dźwięki, może dla pocieszenia wdowiego serca, a może, aby dawać światu i ludziom do zrozumienia, że w tym domu jest kobieta, która ma chęć i nieprzymuszoną wolę do zmiany nazwiska.

Ona sama mówiła, że jeżeli gra, to niekoniecznie dlatego, żeby grać, lecz tak sobie, dla rozmaitości.

Słuszna racja; dlaczegóżbym ja także dla rozmaitości nie miał spisywać pamiętnika? Jaka osoba, takie i memuary, ale skoro już tak sobie postanowiłem, to wykonam.

W młodości uczono mnie, że był ongi w Grecji pewien jegomość, nazwiskiem Plutarch, który spisywał żywoty znakomitych ludzi i tem się wsławił tak dalece, że do dnia dzisiejszego o nim wspominają. Co do mnie, sądzę, że z równą, jeżeli nie z większą dokładnością, niż on, mógłbym napisać biografje kilku znakomitych kamieniczników i wielu lokatorów; mógłbym nawet nakreślić całą historję kamienicy, jak kto inny, naprzykład, dzieje Rzymu lub Anglji.

Cóż to nadzwyczajnego! Podzieliłbym sobie na epoki... ale jak? A no tak, jak było, choćby biorąc rzecz z dezynfekcyjnego punktu widzenia: była epoka chlorku wapna, koperwasu, karbolu, smoły gazowej, tak samo, jak z punktu widzenia hypotecznego była era wdowy grającej, co się trzeci raz za mąż wydała, potem okres rzeźnika-wędliniarza, który od niej dom nabył, krótkie czasy jego syna i epoka obecna, dzisiejszego właściciela, który tem się od poprzednich różni, że w swoim domu nie mieszka, a nawet w Warszawie rzadko kiedy bywa i pieniądze trzeba mu za granicę odsyłać.

Już blisko dziesięć lat okres ten trwa i ja jestem w kamienicy, niby wicekról Indji w Kalkucie; z tą tylko różnicą, że mam uposażenie trochę mniejsze, niż on, bo tylko jeden pokoik na dole i dziesięć rubli miesięcznie w gotowiźnie, za meldunki, pilnowanie stróża, wojny z lokatorami, za pamiętanie o dymiących piecach, popsutych kuchniach, obdartych tapetach, zaciekającym miejscami dachu i tysiącznych innych drobiazgach.

Żeby nie to, że jeszcze mam inny stały obowiązek kantorowy i że posiadam trochę groszа, którym po maleńku obracam, nie byłoby z czego żyć.

Jak jest, tak jest, ale klepie się biedę jakoś, a niekiedy bywa nawet wesoło; najbardziej zaś to mnie pociesza, że stanowisko jest poważne, kłaniają mi się grzecznie lokatorowie, kłania bardzo nizko stróż, a że gospodarz jest nieobecny, więc znowuż ja nie mam tak bardzo komu się kłaniać, a jeżeli to czynię, to więcej przez dobre wychowanie i przez grzeczność, niż z potrzeby.

Żony nie mam, bo w jednym pokoiku byłoby dla dwojga za ciasno. Trafiało mi się parę razy, że mógłbym się był ożenić, nawet i posag obiecywali, ale bałem się. Musiałbym mój pokoik opuścić, tryb życia zmienić, co mi po tem? Zresztą u nas w domu, co mieszkanie, to lokator, co lokator, to żona, a co żona, to ambaras — powiedziałem więc sobie: dać pokój i dałem pokój.

Stancja moja jest na dole, w podwórku, w oficynie; nie mogę powiedzieć, żeby była zanadto wielka, owszem, raczej małą nazwać ją można, ale dla mnie samego wystarcza. Dla interesantów jest cokolwiek szczupła i gdy przyjdą naraz trzy sługi z meldunkami, to jedna stoi przy mojem biurku, a dwie muszą czekać za drzwiami, bo nie zmieściłyby się już w stancji. Naturalnie, że nie codzień trafia się taki ścisk, ale przy przeprowadzkach kwartalnych bywa.

Na dole jest bawarja: trzyma ją niejaka Matjasowa, powiadam Matjasowa, bo Matjas się nie liczy; nie ma żadnego znaczenia i nikt na niego nie patrzy.

Ona komorne płaci, patenty wykupuje, służbę godzi, pijanych gości sama za drzwi wyrzuca, a on tylko przy antałku siedzi i piwo toczy, a jeżeli nie toczy, to drzemie.

W tej bawarji gości dużo bywa, a szczególniej w sobotę wieczorem, po fercentagach tłok taki, że o miejsce trudno.

We frontowej stancji, z drzwiami na ulicę jest bufet bardze porządny i kredens oszklony na trunki.

Matjasowa lubi elegancję; więc są figury gipsowe, są i wazony, a w nich kwiaty, ma się rozumieć, papierowe, bo skoro porządna porcja flaków kosztuje dwadzieścia groszy, to nie sposób żądać od gospodyni, żeby jeszcze do nich dodawała prawdziwe kwitnące kaktusy, albo rododendrony. Za salą bufetową jest wązki pasaż, za pasażem wielka stancja, a w niej dwa bilardy. Co one już tej babie pieniędzy przyniosły! — a kupiła je, jak mówi, temu lat dwadzieścia, przy okazji, bardzo tanio. Jakiś bawarnik bankrutował i wyprzedawał się — ona skorzystała.

Drugi sklep frontowy zajmuje krawiec i prócz tego jedną stancyjkę na warsztat; w oficynie maglarka swój proceder prowadzi, no i ja mam swoje mieszkanie. Jeszcze jest jedna izdebka, w tej stróż siedzi. Dawniej mieszkał pod schodami, ale grymasił, że mu ciasno — już to wymagania teraz są!

Na pierwszem i drugiem piętrze lokatorowie tak sobie, nic osobliwego; zachciewa im się froterowanych schodów i elegancji, a jak przyjdzie do płacenia, to tak jęczą, jak gdyby ich wszystkie zęby nagle rozbolały.

W oficynie na piętrach, mamy różne zakłady; pracownię strojów damskich, fabrykę sztucznych kwiatów, zakład malowania białych talerzy na zielono — a na trzeciem piętrze, to już sami bardzo biedni ludzie, bo to właściwie nie piętro, ale poddasze.

Ma tam stancyjkę posłaniec, kobieta trudniąca się wyplataniem krzeseł i kilka szwaczek.

Raz, pamiętam, dawna właścicielka, ta grająca, zapowiedziała mi, żebym takich lokatorów wcale nie przyjmował.

Odrzekłem, że namawiałem kilku bankierów i hrabiów na te lokale, ale jakoś nie mieli szczególnej chęci. Zmiarkowała jejmość, że sobie z niej żartuję, i dała pokój.

W sobotę bywa w naszym domu bardzo wesoło, szczególniej na dole. W bawarji muzyka gra, aż szyby drżą, gości pełno. Matjas toczy piwo, a Matjasowa zgarnia pieniądze do szuflady.

Tęga to kobieta, jak gmach, i choć wydaje się ciężka, jednak obrotna niezmiernie; niby rozmawia z gośćmi i śmieje się, a widzi wszystko doskonale i oszukać się nie da.

Właśnie, raz pamiętam, zimową porą wieczorem wielki był ruch w bawarji, jak zawsze zresztą w sobotę. Muzyka grała; ja sam, mając wolny czas, poszedłem na kufelek piwa.

Usiadłem koło pieca, przy małym stoliczku, zapaliłem cygaro i patrzę, a w takiem miejscu jest na co popatrzeć; czasem można się zabawić, jak w teatrze, a czasem to aż człowieka złość ogarnia, takie się tam dzieją różności.

Najwięcej z kobietami kramu bywa; przychodzą one mężów z bawarji wyciągać: jedna płacze, druga prosi, a są i takie, co odrazu do bicia się biorą. Matjasowa tylko zdaleka siedzi i niby nie patrzy, ale widzi wszystko co się dzieje i jak widzi, że kobieta ma rację, a mąż sobie za dużo pozwala, wdaje się w sprawę i rozsądza. Bardzo to mądra kobieta i mir między gośćmi swego zakładu ma taki, że nawet najbardziej pijany nigdy jej nie ubliży i gdy mu Matjasowa powie: »wynoś się pan do licha«, to wynosi się, nic nie mówiąc. Boją się jej.

Muzyka była u Matjasowej porządna: fortepian i skrzypce. Co do fortepianu, gruchot to był, ale struny jeszcze miał mocne. Artyści na tych instrumentach grywali rozmaici i zmieniali się często, gdyż gospodyni znała się i nie każdy potrafił jej dogodzić.

Tego dnia dobrało się dwóch dobrych: jeden miał oko podwiązane, drugi twarz, ale grali ogniście. Na pierwszem piętrze była zabawa, więc też muzyka hucznie przygrywała, a u maglarki, na dole, skakali ludzie trochę przy harmonji, z powodu imienin podobno.

Wesoło więc było w domu... i czas prędko szedł, sam nie wiedziałem, kiedy dziesiąta godzina wybiła. Zamyśliłem się też o różnych rzeczach, zapatrzyłem na ludzi i siedziałem, nie mając nic lepszego do roboty. Wtem nagle zbudził mnie z zamyślenia głos stróża, który wpadł wprost na mnie, wołając:

— Proszę pana, zła przygoda się stała!

Zerwałem się na równe nogi.

— Co? — pytam — pożar? kradzież? morderstwo?

— Jeszcze gorzej! Niech pan prędzej idzie i obaczy.

Wybiegłem do sieni, a za mną cała gromada gości trzeźwych i podpiłych; nawet Matjasowa wytoczyła się z za bufetu.

W sieni było pełno, pozbiegały się sługi ze wszystkich mieszkań, z sąsiedniego domu nawet, z ulicy zaczęli ludzie zaglądać zaciekawieni hałasem, boć gdy kilkadziesiąt kobiet jednocześnie mówi, to rejwach powstaje niemały.

(Dok. n.)

Sonet.

Rzekłaś mi: »Spojrzyj na blask słońca złoty,
Co szle na ziemię ożywcze promienie;
Patrz! jak rozpędza pomroki i cienie
I świateł rzuca mieniące klejnoty!«

Rzekłaś mi: »Spojrzyj na drzew gęste sploty,
Co wydzielają balsamiczne tchnienie;
Patrz! lekko lecą, jak z duszy westchnienie,
Ptaszki, kierując ku niebu swe loty«.

Tyś tak mówiła, zachwytem przejęta,
Patrząc, jak wiosna, królewna zaklęta,
W blaskach słonecznych wykąpana kroczy.

Jam jej nie widział, boś ty uśmiechnięta
Stała przedemną, jakby cud uroczy —
Na ciebie tylko patrzały me oczy.

S. B.

LISTY SZWAJCARSKIE.

II.

(Dokończenie).

Zeszłego roku otrzymałem od Zarządu »Związku Polskiego« we Francji polecenie, udać się do Fontainebleau i gminy Montigny, celem zasięgnięcia wiadomości o górze Kościuszki i o kapliczce, która miała być na niej budowana. Korzystając więc z pięknej, wiosennej pogody, wcześnie pewnego kwietniowego poranku z dworca kolei żelaznej Lyońskiej wyruszyłem do Fontainebleau. Przybywszy na miejsce, dowiedziałem się, że Montigny znajduje się na południu na dalszym ciągu kolei żelaznej. Ile przypominam sobie, jest to trzecia stacja od Fontainebleau. Wyszedłszy z dworca kolei żelaznej, spotkałem starego włościanina i zapytałem go: gdzie jest »Polonia sur Loing?« Sądząc zapewne, że pytam o rzeczkę Loing, wskazał mi na drogę i powiedział, że dojdę wprost do samego mostu. Istotnie, uszedłszy 10 minut drogi, stanąłem w Montigny, a wkrótce i na moście nad rzeczką Loing. Montigny, to jakby nasze małe miasteczko — nie z gorszych, ale z lepszych. Położone w pięknej okolicy, wśród ogrodów, ma murowane domy — i niektóre bardzo piękne — okazałe merostwo ze szkołą, stary kościół, gospody, sklepy itd. Rzeczka Loing rozlewała się wspaniale, podsycona wiosennemi roztopy. O Polonji jednak nikt mi nic nie umiał powiedzieć. Sądząc, że najprędzej może mię poinformować o wszystkiem proboszcz parafji, udałem się do kościoła, lecz kościół i probostwo były zamknięte, a od sąsiadów dowiedziałem się, że dawny proboszcz umarł przed kilku miesiącami, że nowego jeszcze nie przysłano, i że bedeau, coś trochę ważniejszego od naszego zakrystjana, nie mając co robić, przebywa u swoich krewnych w okolicy. — A więc pójdę do mera — pomyślałem — to on może mię objaśni. W dziedzińcu zwykłego chłopskiego domku, należącego do mera, ujrzałem staruszkę chłopkę, siedzącą na ławeczce. Staruszka — jak się okazało — była matką mera, i od niej dowiedziałem się, że syn jej był w polu, gdzie pracował, i że dopiero wieczorem miał wrócić. Tymczasem godzina była już jedenasta. Postanowiłem więc wstąpić do gospody, zjeść tam śniadanie i wypytać o wszystko gospodarza. I tu spotkał mię zawód. Gospodarz pracował w polu, a gospodyni była rodem z innej okolicy i — jak się zdaje — znała tylko miasteczko Montigny. A czy nie słyszałaś co pani o Berville'u? — zapytałem. — Berville, to za rzeczką, niedaleko, kwadrans drogi. — Poszedłem więc do Berville'u i, przy pomocy wskazówek listonosza, którego napotkałem, skróciłem sobie znacznie drogę, przechodząc lasek i mostek pomiędzy szluzami na Loing. Berville — to zwykły piątrowy, masywny, podobny do chłopskich zabudowań w Szwajcarji dom z obszernem zabudowaniem i wielkim dziedzińcem. Ma wygląd nie pańskiego pałacu, ale sadyby gospodarczej. Brama była zamknięta i okiennice także. Na moje szczęście wyszedł parobek z wiadrami po wodę, i od niego dowiedziałem się, że właściciel domu z całą rodziną mieszka w Paryżu, i że rządcą w całej sadybie jest ogrodnik. Wszedłem na dziedziniec, a ogrodnik, młody i inteligentny człowiek, spostrzegłszy mię przez okno, wyszedł także z zapytaniem, czego chcę. — Tu kiedyś mieszkali Zeltner i jenerał polski, Kościuszko, czy pan o nich słyszałeś? — rzekłem. — O Zeltnerze — odpowiedział — nic nie słyszałem, ale o polskim jenerale bardzo wiele. — Czy pan nie wiesz przypadkiem, gdzie jest góra Kościuszki? — Wiem dobrze — odrzekł — i zaczął mi tłumaczyć, jak iść trzeba. Widząc, że nie znam miejscowości, powiedział: idź pan do wioski Sorques, a tam każdy panu pokaże drogę do tej góry. — Czy daleko do Sorques? — Najwięcej półgodziny drogi — odrzekł.

Sorques, mała wioseczka, wyglądała tak, jakby nie miała wcale ludności. Było południe, i słońce nie po wiosennemu piekło. Żadnego przytem szynku, do którego możnaby śmiało zapukać. Wyszedłem więc na skraj wioseczki, gdzie drogi się krzyżowały, i siadłem w cieniu drzew. Biegało sporo dzieci, ale te ze zdziwieniem na mnie patrzyły, szeroko otwierały usta i nic nie odpowiadały. Spostrzegłem wreszcie dwie kobiety, niosące na głowach wiązki chrustu. Zbliżyłem się więc do nich i zapytałem, czy nie mogłyby mi wskazać, jak iść mam do góry Kościuszki. Z wielką uprzejmością wskazywały ręką drogę i objaśniały mię o rozmaitych skrętach. A czy daleko ta góra? — zapytałem. — Może, półgodziny drogi — odrzekły.

Kierując się wskazówką, wszedłem do lasu, ale po niejakim czasie napotkałem rozdroże. — Czy iść prostą drogą, czy zwrócić na prawo? Ostatnie wydawało się pewniejsze, ponieważ droga szła pod górę. Nie chciałem jednak iść na chybił trafił, a że skwar słoneczny mocno mi dokuczał, ułożyłem się więc swobodnie w cieniu jakiejś szerokiej sosny i czekałem, aż się pojawi jakiś przechodzień. Czekałem z dobrą godzinę. Wreszcie posłyszałem tupot konia i poganianie. Wyszedłem więc na drogę i ujrzałem włościanina, który z pługiem i koniem widocznie wracał z pola do domu. Był to młody, przystojny, silny mężczyzna z twarzą rozumną. Potwierdził on mój domysł, że należało iść na prawo. — Jak pan wyjdziesz na górę, to zobaczysz: górę Kościuszki, bije w oczy. Tam są jeszcze ślady piwnicy. Do niedawna stał pomnik, ale runął.

Wyszedłszy na górę, znalazłem się — rzec można — w zupełnie dzikiej okolicy. Po drugiej stronie wąwozu piętrzyła się znowu góra z dużemi skałami i małemi brzozkami. — Może to

jest góra Kościuszki? — myślałem, ale jak się o tem dowiedzieć. Na prawo w pewnej odległości widziałem w gęstwinie drzew duży dom murowany. Nadaremnie jednak przez godzinę starałem się zbliżyć do niego. Zaszedłem do jakiegoś kamieniołomu bez wyjścia, to znowu wlazłem w taką gęstwinę, że ledwie wyplątać się mogłem. Odstąpiłem wreszcie od zamiaru zbliżenia się do zaczarowanego widocznie domu i, zeszedłszy na drogę, która biegła w wąwozie, wydrapałem się tam, gdzie było najwięcej skał i gdzie brzózki tak wyglądały — może i prawdopodobnie skutkiem wyobraźni — jak na sztychu, przedstawiającym przyszłą kapliczkę św. Tadeusza. Zdawało mi się, że widziałem tam ślady jakiejś piwnicy, jakieś umyślne nagromadzenie kamieni i skał. Łaziłem, szukając napisów, liter, czegoś, coby mogło służyć za pewną wskazówkę. Nic nie znalazłem. Siedziałem więc i dumałem o Kościuszce, o wychodźcach 31 r., o naszej nieszczęśliwej doli i o setnej rocznicy bojów o niepodległość i wolność. Przeszło dwie godziny pozostawałem na górze, zawsze w nadziei, że ktoś drogą przechodzić będzie. Już było po czwartej, a o szóstej, mając bilet »aller et retour«, musiałem wracać do Paryża. Szedłem więc przez las drogą wąwozową na lewo, od domniemalnej góry Kościuszki powolnym krokiem, zawsze jeszcze spodziewając się, że kogoś przecież spotkam. Nie spotkałem jednak nikogo. Wróciwszy do Montigny, zaszedłem znowu do mera, ale z pola nie był jeszcze wrócił. Odjechałem więc do Paryża, przekonawszy się tylko, że góra Kościuszki jest dobrze znana okolicznej ludności.

B. L.

Rosjanin o Rosji.

Niedawno ukazała się książka, stanowiąca bardzo ważny przyczynek do charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego w przededniu reform liberalnych Aleksandra II.

Książką tą jest t. III. »Korespondencji« jednego z najwybitniejszych przedstawicieli zwyrodniałego obecnie stronnictwa słowianofilskiego Iwana Aksakowa. Charakterystyka Rosji przedreformowej, podana przez Aksakowa, ma tem większe znaczenie, że Aksaków znał całą Rosję, jak rzadko kto i że go nikt nie może posądzać o jakiekolwiekbądź »wichrzenia« rewolucyjne. Zdania wypowiadane przez znakomitego publicystę rosyjskiego, zasługują na szczególniejszą uwagę wobec tego, że teraz w reakcyjnej prasie rosyjskiej, coraz to częściej dają się słyszeć głosy, nawołujące do szukania ideałów społeczno-politycznych w epoce, poprzedzającej uwolnienie włościan od pańszczyzny.

Najciekawsze dane Aksakowa odnoszą się do czasów wojny krymskiej. Z zakrwawionem sercem, ze łzami w oczach, piętnuje patrjota rosyjski całe swoje społeczeństwo. »Czegoż można się spodziewać — powiada on — od kraju, w którym trzeba skłamać, aby powiedzieć prawdę, w którym trzeba postępować wbrew prawu, ażeby być sprawiedliwym, trzeba przebyć całą procedurę oszukaństwa i podłości, ażeby uzyskać, co ci się z prawa należy.« »Ach jak ciężko, jak okropnie ciężko żyć w Rosji, w tej cuchnącej atmosferze brudu, błota, kłamstwa, oszukaństwa, nadużyć, podłych poczciwców, gościnnych łapowników. Czegoż się można spodziewać po kraju, który stworzył i znosi takie stosunki? Wszelka nadzieja opuszcza człowieka, który się głębiej zastanowi nad stanem Rosji. Całe społeczeństwo we śnie pogrążone, lud i klasy średnie zdemoralizowane.« Aksaków opisuje sceny, świadczące o »najwstrętniejszem pijaństwie i rozpuście« ludu na jarmarkach. O kupcach wyraża się on w ten sposób: »Często słyszę, jak Rosjanin drwi z poczciwości ukraińca, która mu się wprost głupotą wydaje, i jak bezlitośnie go oszukuje. Bardzo mądrym jest kupiec rosyjski, ale jest on również wielkiem bydlęciem«. Po zdobyciu Sewastopola, Aksaków udał się do Krymu. »Nie możecie sobie wyobrazić, jak smutną pamięć zostawiła po sobie armja rosyjska. Był to prawdziwy rozbój, rabunek, gwałt dokonywany nie przez prostych żołnierzy, lecz przez oficerów i jenerałów.

Naczelnicy tak wojskowi jak i cywilni wprost niby jakiś spisek uknuli w celu zrabowania kraju, skarbu, mieszkańców i nieszczęśliwych żołnierzy. Ani Francuzi, ani Anglicy nigdzie nie dopuszczali się rabunku — zaznacza on. »Włosy powstają na głowie, gdy się przypomni, do jakiego cynizmu bywała posuwana namiętność zysku, napychania sobie kieszeni. Tam na murach Sewastopola krew się lała, a tu w Bachczysaraju szalała orgja rozpusty za skradzione pieniądze. Rozumie się, że oprócz hańby, żadnych wyników wojny nie można było się spodziewać«. Po wojnie Aksaków przebywał jakiś czas w Bessarabji. »Rosjanie tutejsi — pisze on — są bardzo wrogo względem Rosji usposobieni«. Pewnego razu spotkał Aksaków brodacza dorożkarza i rzucił się ku niemu z radością, jako ku rodakowi-wielkorusinowi. Ale ten przyjął go bardzo chłodno i powiedział: »co mię u djabła obchodzi ta Rosja! Tam byliśmy gnębieni, a tutaj jesteśmy wolnymi!«

Cała korespondencja Aksakowa przepełniona jest szczegółami, w których stan ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego, został odmalowany przez niego w barwach jak najczarniejszych.

Rozbiory i sprawozdania.

Dr. Albert Zipper: »Lutnia i Miecz«. Życie Szandora Petöfiego (z portretem poety). — Złoczów. — Nakładem i drukiem Wilhelma Zuckerkandla.

Książeczka objętości blisko 180 stronic, którą mamy właśnie przed sobą, jest przedrukiem szeregu fejletonów, umieszczanych niedawno w »Nowej Reformie«. Dr. Zipper kreśli w barwnych obrazach jeden z najciekawszych i najburzliwszych żywotów, jakie w nowożytnej napotykamy literaturze.

Szandor Petoefi, największy, a może jedyny prawdziwy poeta Węgier, oto bohater wyżwzmiankowanego dziełka. Pochodzenia czysto słowiańskiego, syn rzeźnika Szczepana Petrowicza, ród swój wywodzącego z plemienia serbskiego, oraz słowaczki Marjanny Hruz, która w chwili, gdy wychodziła za mąż, nie umiała nawet ani słówka po węgiersku, łączy Aleksander Petoefi w pieśniach swoich wiele cech, właściwych słowiańskiej poezji ludowej, mianowicie rzewność i miękkość uczucia, oraz niewysłowioną tęsknotę, do której dołączyć należy niepowściągliwy ogień południowca.

Poezja Petoefiego jest bezpośrednim wypływem duszy, która gorętsze przechodziła walki, która łamała się z losami, będącymi zwykłym udziałem wielkich śpiewaków. Uczucia i obrazy — przeważnie słynnej Puszty, nie zaprawione żadną refleksją filozoficzną, postacie, wzięte z życia ludu węgierskiego oraz z dziejów Węgier, w które Szandor wczytywać się lubiał, oto treść poezji autora tak znanej u nas »Karczemki«, »Janosza Wojaka«, tej ślicznej, romantyzmem zaprawionej baśni ludowej, »Pereł Miłości«, »Chmur« etc.

Życie Petoefiego było niezwykle burzliwe. Urodzony ostatniego grudnia 1821 w lichej mieścinie Kis-Koeroes, oddany został, podrósłszy, do szkół gimnazjalnych w których nie świetnie mu się wiodło. W młodym bardzo wieku zatęsknił do cygańskiej doli prowincjonalnego aktora, porzucił szkoły, przystał do jakiejś trupy, gdzie również nie miał powodzenia. Po wielu przykrych zawodach, wstąpił napowrót do szkół, lecz znowu je rzucił, aby na nowo rozpocząć tak samo niefortunny zawód histrjona. Po tych nieszczęśliwych próbach, chwycił się karjery wojskowej, ale i tu nie zaświecił mu żaden pogodniejszy promień. Po roku ucieka i od tego zawodu, przechodzi straszną nędzę, nie ma literalnie włożyć co do ust, nie ma w co się ubrać, pomimo dumy zmuszony przyjmować jałmużnę kolegów, którzy mu ofiarują mieszkanie. Następnie, umieściwszy kilka poezji w wychodzącem wówczas budapeszteńskiem »Ateneum«, które niezwykłe wywarły wrażenie, nawiązuje stosunki z najwybitniejszymi literatami stolicy Węgier, przedewszystkiem zaś z twórcą narodowego hymnu »Szozat«, Vörösmartym. Szlachetny poeta ten otacza wybiedzonego Petoefiego, (bo takie przybrał sobie Szandor Petrowicz nazwisko, ponieważ rodzinne, z powodu słowiańskiej końcówki mu się nie podobało), dopomaga mu jak może, stara się o wydanie tomiku jego poezji. Petoefi jednym rzutem uzyskał sławę; zajęcia redaktorskie, które otrzymał niebawem, zapewniły mu jaki taki byt, a podróż jego po Węgrzech była niemal pochodem tryumfalnym: poetę witano, gdzie się tylko zjawił, banderjami, bramami tryumfalnemi, bankietami itd.

Namiętny, a przytem idealizmem przesiąkły charakter poety znajdował znakomity do tworzenia bodziec w miłości. Miał już na skroniach wieniec laurowy, gdy, przybywszy z stolicy do rodzinnej wioski, poznał dziewczynę zasobnego wieśniaka, Zuzię Nagy. Rozpalił się ku niewinnemu dziecku Petoefi ogniem prawdziwej i czystej miłości, a owocem tego była wiązanka przepięknych wierszy erotycznych. Niebawem jednak szczęście się skończyło. — Zuzia nie była kobietą, któraby mogła na dłużej niespokojnego przykuć poetę. Rozstali się po kilku miesiącach. Petoefi podążył na arenę działalności pisarskiej, a Zuzia wyszła za przyjaciela dawnego kochanka, pastora Bally. Poeta zwrócił swe afekta po kilku przejściowych miłostkach ku Julji Szendrey, córce bogatego dzierżawcy czy też zarządcy jakichś dóbr hrabiowskich. Małżeństwo, mimo opozycji ojca panny, przyszło do skutku. Trwało ono nie długo. Na Węgrzech gotowały się wypadki, które Petoefiego oderwały od ogniska domowego, zaprowadzając go natomiast w szeregi walczących o wolność braci. Poeta, pragnąc miłość ojczyzny stwierdzić czynem, wstępuje do oddziału »ojca« Bema, walczy mężnie przy jego boku, dobija się stopnia majora i wraz z innymi rodakami pada 31. lipca 1849 pod Szekely Kerestur.

Że Petoefi zginął i jak zginął, nikt nie wiedział, widziano go tego dnia po raz ostatni, przypuszczano więc, że musiał zginąć. Przez długi czas błąkała się uporczywa pogłoska, że Petoefi dostał się do niewoli moskiewskiej i powędrował na Sybir. Przed pięciu dopiero laty, ogłoszono pierwsze na wiarę zasługujące świadectwo o śmierci Petoefiego. Podług tego zeznania, złożonego przez jednego ze starych wojaków, człowieka prostego, zginął poeta od pałaszy dwóch kozaków i pochowany został we wspólnym grobie wraz z innymi towarzyszami szlachetnego boju.

Taki był żywot wielkiego pieśniarza, skreślony przez dr. Zippera z wielką znajomością przedmiotu, barwnie i wypukle. Czytelnik, przeczytawszy książkę, ma bardzo dobre wyobrażenie zarówno o samym poecie jako człowieku, oraz o charakterze jego poezji, którym dr. Zipper obszerny poświęcił rozbiór, wplatając je w bieg życia Petoefiego. Wyobrażenie mamy tem dokładniejsze, że dr. Zipper ilustrował rozprawę swą licznymi wyjątkami z poezji Petoefiego w pięknych przekładach Sabowskiego i Rossowskiego.

J. K

Przegląd pism.

Annuaire des traditions populaires. Neuvième année. Paris. 1894. 8-ka. Str. IV. i 165.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu, zapanował ruch niezwykły na polu t. z. folklorystyki*). Na zachodzie Europy i w Ameryce zawiązują się

*) Pod nazwą folklorystyki rozumiemy naukę, zajmującą się porównawczemi badaniami płodów twórczości ludo-

liczne stowarzyszenia, mające na celu gromadzenie i studjowanie rzeczy ludowych, zakładają się specjalne organa folklorystyczne, urządzają się zjazdy folklorystów i t. d. Ruch ten nie ominął i Słowiańszczyzny, a takie organa, jak: »Wisła«, »Etnograficzeskoje Obozrenje« lub »Czesky Lid« w niczem nie ustępują podobnym pismom francuskim, angielskim i włoskim.

Na czele całego ruchu folklorystycznego stoją obecnie Francuzi, pomiędzy którymi znajduje się znaczny poczet znakomitych uczonych folklorystów, jak n. p. N. Gaidoz, P. Sébillot, E. Cosquin, N. Carnoy, Bourgault, Ducoudray, E. Rolland, Puimaigre, takie zaś czasopisma jak: »Mélusine«, »Revue des traditions populaires« i »La Tradition« są obecnie najlepszemi wydawnictwami w tej gałęzi wiedzy.

Pismo, którego nagłówek wypisaliśmy powyżej, jest organem »Towarzystwa folklorystycznego« w Paryżu i wychodzi od lat dziewięciu. W kilku pierwszych rocznikach tego pisma znajdowało się dosyć dużo materjałów etnograficznych in crudo, oraz kilka monografji folklorystycznych. Ale, poczynając od zeszytu czwartego, pismo to zmieniło całkowicie charakter. Redaktor »Annuaire« p. Sébillot, jeden z najwybitniejszych folklorystów francuskich, postanowił uczynić pismo to niezbędnym podręcznikiem informacyjnym o rozwoju i stanie obecnym wiedzy folklorystycznej.

Taki też charakter ma rocznik najświeższy. Na początku podany jest spis towarzystw folklorystycznych, lub też wogóle mających jakiś stosunek z rzeczami ludowemi we Francji, w Belgji, w Hiszpanji, we Włoszech, w Grecji, w Anglji, w Niemczech, w Austrji, w Rosji i w Ameryce. »Annuaire« pokrótce znajomi nas z historją działalności każdego z tych stowarzyszeń, wylicza ich organa i podaje nazwiska oraz adresy członków jego wydziału, albo prezesa. W liczbie towarzystw folklorystycznych znalazło się lwowskie »Towarzystwo imienia Szewczenki«, które, jak dotąd przynajmniej, z folklorystyką nic nie miało do czynienia. Pominięto natomiast całkowicie działalność Akademji umiejętności w Krakowie, która przecież, wydając taki »Zbiór wiadomości do antropologji krajowej« lub podobne dzieła jak Talko-Hryncewicza »Medycyna ludowa na Rusi południowej« albo »Lud nadrabski«. Swiętka, położyła nie małe zasługi na polu ludoznawstwa.

Po spisie stowarzyszeń idzie spis organów, poświęconych folklorystyce, albo stojących z nią w pewnym związku. Spis bardzo dokładny, podający nie tylko nazwę pisma, ale również adres redakcji oraz cenę prenumeraty. Dalej następuje wyszczególnienie wszystkich muzeów etnograficznych. Z polskich wymienione są: Muzeum »Towarzystwa przyjaciół nauk« w Poznaniu, Muzeum Baranieckiego w Krakowie, Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie, oraz stała wystawa etnograficzna w Warszawie. Następnie znajdujemy spis imion i adresów pracowników na polu folklorystyki, z wyszczególnieniem specjalności każdego. Dział słowiański wogóle, a polski w szczególności jest bardzo obfity. Dział informacyjny kończy lista uczonych, poświęcających się folklorystyce, zmarłych w ciągu lat 1886—1893.

Na końcu zeszytu znajduje się wielka liczba rysunków, przedstawiających ilustracje klechd i podań ludowych, wyobrażenia postaci wierzeń ludowych, jak: wróżek, djabłów, śmierci, wyjęte przeważnie ze starych zbiorów baśni i podań. Dalej idą sceny z życia ludu, wizerunki pierników, zabawek glinianych, amuletów, pisanek, próbek rzeźbiarstwa ludowego i t. p. przedmiotów.

L. Wasilewski.

wej. Nauka ta jest jak najściślej połączona z dziejami literatury, ponieważ niezmiernie trudno jest przeprowadzić granicę pomiędzy piśmiennictwem a twórczością ludową. Z drugiej strony folklorystyka wciąga poniekąd w swój zakres psychologję, tudzież historję religijnej i społecznej ewolucji ludzkości i wskutek tego ma pewne punkta styczne z etnopsychologją, mitologją, socjologją i dziejami kultury w ogóle, tem bardziej, że wszystkie te specjalne gałęzie wiedzy, opierają się, tak jak i folklorystyczna, w znacznej mierze na materjale etnograficznym.

Z RUCHU LITERACKIEGO.

Brzeziński Mieczysław. Pogadanki o wnętrzu ziemi — Warszawa, 1894, str. 104, z 49. rysunkami, 30 kop.

—∿—

Brandes Jerzy. Umysły współczesne, portrety literackie XIX. w., t. II. (Flaubert. Paludan-Müller. Björnstjerne - Björnson. Ibsen. Goncourtowie. Turgeniew. Nietzsche.) Warszawa, nakładem redakcji »Głosu«, 1894, str. 256. rub. 1.

—∿—

Feldman Wilhelm. Asymilatorzy, Sjoniści i Polacy. Wyd. II. Lwów, 1894, str. 62. ct. 30.

—∿—

Fouillée Alfred. Moralność, sztuka i religja, według Guyau. Warszawa. Nakładem redakcji »Głosu«. 1894, rs. 1, kop. 20.

—∿—

Tarnowski St. O kolendach. Kraków, 1894, str. 54. ct. 50.

—∿—

Weismann Aug. Myśli o muzyce u zwierząt i człowieka. Muzyka w świetle poglądów Weismanna, zamiast przedmowy napisał Adam Mahrburg. Petersburg, 1894, str. LXIX. i 71.

—∿—

Żmichowska M. Kwiaty rodzinne, wybór poezji polskiej, wyd. 3 niezmienione. Kraków. 1894, str. XV. i 494, złr. 1·80.

—∿—

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.